

**Profesor Owen Gingerich**

*Doktor Honorowy Uniwersytetu Zielonogórskiego*

WYKŁAD  
HONOROWEGO DOKTORA

**Kepler, Kopernik i Polska**

Corocznie w czerwcu na terenach Uniwersytetu Harvarda zbiera się około 30 000 osób, aby być świadkami najstarszego w Ameryce i najbarwniejszego widowiska akademickiego. Pomędzy szeregami kończących uczelnię studentów kroczą dostojnicy, dziekani i kadra naukowa, olśniewający w swych różnobarwnych strojach symbolizujących tytuły naukowe nadane im przez uniwersytety na całym świecie. Podczas tej uroczystości szkarłatne harwardzkie togi wyglądają tak pospolicie, że wielokrotnie przyglądałem się z zazdrością kolegom posiadającym akademickie tytuły i paradne stroje z miejsc bardziej egzotycznych. W marzeniach jawił mi się honorowy tytuł nadany w jakimś odległym miejscu, może na polinezyjskiej wyspie, któremu towarzyszyłoby prawo do noszenia ozdobionej piórami peleryny, jakiej nie posiada żaden z moich harwardzkich kolegów, i której zazdrościliby mi wszyscy. Niestety, prędko uświadomiłem sobie, że taki strój byłby całkowicie nie-ekologiczny i że nosząc go naraziłbym się na szyderstwa. O ile więc wspanialej, a nawet właściwiej jest otrzymać ten najwyższy zaszczyt tutaj, na uniwersytecie mieszczącym się tak blisko ostatniego miejsca pobytu mojego ulubionego astronoma, Jana Keplera. Z całego serca dziękuję za to szczególne wyróżnienie i na długo zapamiętam ten niezwykły dzień.

Spróbuję teraz wyjaśnić, w jaki sposób Kepler stał się moim ulubionym astronomem i jak narodziła się moja długoletnia, głęboka sympatia dla Polski.

Kochałem astronomię odkąd sięgam pamięcią, najpierw jako amator – obserwator nieba, później jako wykwalifikowany astrofizyk. W okresie przejściowym pomiędzy amatorstwem a zawodowstwem z niezwykłym zainteresowaniem przeczytałem *Lunatyków* Artura Koestlera, w trakcie lektury dostrzegając jego pełne współczucia i zrozumienia podejście do Keplera. Koestler, wytrawny powieściopisarz, widział świat w kategoriach „dobrych” i „złych” bohaterów, a w tej historii sportretował Keplera jako dobrego, zaś Kopernika i Galileusza jako złych.

Miałem to szczęście, że już w początkowym okresie mojej kariery zawodowego astrofizyka pojawiła się możliwość wykorzystywania do obliczeń pierwszych szybkich komputerów. Najlepszy w Nowej Anglii komputer, używany zwykle do śledzenia satelitów, stał się moim narzędziem do badania nieba. Po uzyskaniu doktoratu przez dziesięć lat publikowałem prace prezentujące komputerowe obliczenia, dotyczące przechodzenia światła gwiazd przez ich zewnętrzne warstwy w zależności od barwy tego światła. Jednocześnie miałem jednak dość „czasu komputerowego”, aby wykorzystać go dla realizacji innych projektów, wyliczyłem więc położenia planet, co dziesięć dni, na wszystkie lata od roku 2500 p.n.e. do roku 2000.

Wtedy to zwróciłem uwagę, że Koestler opisuje jak Kepler, podczas swojej „wojny z Marsem” wykonywał po 70 przybliżeń zanim znalazł zadowalającą orbitę. Wiedziałem już, że zawsze, gdy natykamy się na zadanie wymagające wielokrotnego powtarzania rachunków, a takim było dokonywanie 70 prób wyliczenia orbity, to jest ono zwykle dobrym materiałem dla metod numerycznych. Jak się okazało w 1963 roku, komputer IBM 7094 potrzebował niecałe 8 sekund, żeby rozwiązać zadanie Keplera, a minimalna liczba kolejnych przybliżeń wyniosła 9. Zgodnie z dzisiejszymi standardami to ogromne zużycie czasu komputerowego, ale wtedy uznano operację za wykonaną błyskawicznie.

Nadal jednak zastanawiało mnie, czemu Keplerowi tak kłopotliwie szły obliczenia? Czy popełniał tak wiele błędów rachunkowych, że jego rozwiązania przybliżone po prostu nie chciały się zbiegać? Zdecydowałem się tę rzecz wyjaśnić i w tym celu poprosiłem Rosjan o mikrofilm odpowiedniego tomu nieopublikowanych notatek Keplera dotyczących Marsa, przechowywanych w Archiwach Radzieckiej Akademii Nauk w Leningradzie. Przez kolejnych pięć lat powtarzałem swą prośbę mniej więcej co pół roku. Ostatecznie jednak cierpliwość została wynagrodzona, w roku 1970 otrzymałem cenny mikrofilm. Z jego pomocą dokonałem dwu ważnych odkryć dotyczących Keplera. Po pierwsze, był on nieomal tak wydajny jak komputer. To nie z powodu pomyłek rachunkowych musiał dokonywać tak wielu przybliżeń, ale z powodu rozbieżności we wstępnej obróbce danych obserwacyjnych Tycho de Brahe, z których korzystał. Po drugie zaś, większość uczonych zakładała, że wspaniała *Astronomia nova* Keplera, w której opisuje swą drogę do odkrycia eliptycznej orbity Marsa jest zaledwie autobiograficznym sprawozdaniem, obfitującym w szczególności i opisującym chronologicznie jak zaplanował i przeprowadził on swą wojnę z Marsem. Jednakże mikrofilm odpowiedniego notatnika pokazuje, że Kepler pracował jednocześnie nad wieloma różnymi aspektami tego zagadnienia, że natknął się na wiele więcej ślepych uliczek, niż opisuje to w swej rozprawie, że w wielu przypadkach używał dwunastu dokonanych przez Tycho de Brahe obserwacji Marsa, aby uzyskać na ich podstawie jedną, wysoce dokładną jego pozycję,

choć ani razu nie wspomniał o tym w książce, i że wybrał ze swej historii tylko to, co niezbędne aby wykazać, że pracował nad tym zagadnieniem dość ciężko by przekonać czytelników, że nie ma innego, dającego się udowodnić rozwiązania oprócz elipsy. Innymi słowy, *Astronomia nova* nie jest jedynie kroniką, ale retorycznym opisem o wysoce skomplikowanej konstrukcji, stworzonym z myślą o przekonaniu astronomów, że uzyskane przez Keplera wyniki są ostateczne.

W roku 1971 opublikowałem swoją najważniejszą, ale również ostatnią pracę astrofizyczną. Wtedy też przypadała 400 rocznica urodzin Jana Keplera. Trudno mi uznać za przypadek fakt, że oba te wydarzenia miały miejsce jednocześnie. Mówię niekiedy, i tylko na pół żartując, że moja kariera astrofizyczna padła ofiarą rocznic, zarówno keplerowskiej w 1971, jak i obchodzonej wkrótce potem, w roku 1973, 500 rocznicy urodzenia Kopernika. W roku 1971 napisałem i opublikowałem sześć różnych artykułów poświęconych pracom Keplera. Od tej pory Kepler nigdy nie opuścił sfery moich zainteresowań. Dla przykładu, wraz z Alainem Segondsem dodaliśmy około 1100 przypisów do największej, choć słabo udokumentowanej biografii Keplera napisanej przez Maxa Caspara. Ponadto, jak to przedstawię na zaczynającej się właśnie konferencji, brałem ostatnio udział w badaniach powodów, dla których stanowiące szczytowe osiągnięcie Keplera *Tablice Rządofińskie* są dziś tak rzadkie w porównaniu z innymi tego rodzaju wydawnictwami.

Jak już wspominałem, inne niezwykle ważne wydarzenie miało miejsce wkrótce po obchodach 400-lecia urodzin Keplera, a było to 500-lecie urodzin Kopernika, jednak aby wyjaśnić moje powiązania z Kopernikiem i Polską, muszę cofnąć się o przeszło 60 lat.

Wtedy to właśnie, latem roku 1946, gdy byłem nastolatkiem, powstał niezwykle projekt, który miał dla mnie niewyobrażalne konsekwencje. Było to zaledwie rok po zakończeniu II wojny światowej, gdy cała Europa Wschodnia, a Polska w szczególności, leżała w gruzach. Nowo utworzona Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy zapoczątkowała program wysyłania za ocean koni, które miały pomóc w odbudowie rolnictwa w zniszczonej wojną Europie, szczególnie zaś w Polsce. Mój ojciec dowiedziawszy się, że dla realizacji zamierzenia niezbędni są kowboje, pośród znajomych rodzin z amerykańskiego Środkowego Zachodu zwerbował 32 młodych ludzi, aby popłynęli na statku wiozącym 800 koni zapewniając im opiekę podczas rejsu. Miałem wówczas 16 lat, co stanowiło minimalny wiek dla marynarza floty handlowej i wyruszyłem jako drugi najmłodszy z kowbojów na tym swoistym „statku wolności”. Minęliśmy Białe Skały Dover, przepłynęliśmy Kanał Kiloński i natychmiast zabłądziliśmy na najniebezpieczniejszym polu minowym pozostałym po wojnie, ponieważ kapitan odmówił wzięcia na pokład niemieckiego pilota. Statek poruszał się *bardzo* powoli

i na szczęście nie wpadł na żadną minę, ale sam widziałem, że niektórych uniknęliśmy o włos. W końcu, 12 czerwca, dotarliśmy do Nowego Portu. Przed naszymi oczami leżał obrócony w grzyby Gdańsk, a na nabrzeżach panoszył się czarny rynek i prostytucja – widok tych potwornych następstw wojny był prawdziwym szokiem dla naiwnych młodych chłopców. Byłem pełen współczucia dla trudnego położenia Polaków, a gdy później obserwowałem z jaką prężnością odbudowywali stary Gdańsk i Zamek Warszawski, stali się oni obiektem mojego podziwu.

Gdy podczas podróży powrotnej statek zatrzymał się w Kopenhadze w celu dokonania napraw, wybrałem się do tamtejszego Obserwatorium. Tam, przyjaźnie usposobiona pani wyjaśniła mi, na czym polega jej praca – prowadzenie Centralnego Biura Telegramów Astronomicznych, rozsyłającego zawiadomienia o odkrytych kometach i gwiazdach nowych. Nawet w najśmielszych snach nigdy nie przewidziałem, że 18 lat później przejmę jej posadę i przeniosę tę instytucję z Kopenhagi do amerykańskiego Cambridge.

Przeprowadzka biura telegramów miała miejsce w roku 1964, na spotkaniu Międzynarodowej Unii Astronomicznej w Hamburgu. Tam właśnie poznałem Jerzego Dobrzyckiego, młodego astronoma z Warszawy, który, tak jak i ja, zaczynał interesować się historią astronomii i miał stać się jednym z moich najbliższych współpracowników. Kiedy opowiedziałem Dobrzyckiemu o przygnębiających okolicznościach mojej wizyty w Polsce, zaczął mnie nakłaniać do powtórnych odwiedzin i to już latem następnego, 1965 roku, przy okazji kongresu Międzynarodowej Unii Historii Astronomii. Wraz z moją żoną Miriam przyjechaliśmy więc i udało nam się zwiedzić Warszawę, Toruń i Kraków. Na miejscu okazało się, że polscy historycy zaczynają już przygotowania obchodów kopernikańskich w roku 1973, wydarzenia potoczyły się szybko i znalazłem się w składzie międzynarodowego komitetu planującego uroczystości pięćsetlecia. Dzięki temu miałem wiele okazji do odwiedzania Polski przyjeżdżając na posiedzenia tejże komisji.

Termin jubileuszu zbliżał się nieuchronnie i zdałem sobie sprawę, że z pewnością zostanę poproszony o wygłoszenie referatu o Koperniku, choć z drugiej strony wiedziałem, że jego życie i praca były od setek lat obiektem wnikliwych studiów. Zastanawiałem się, co jeszcze nie zostało skrupulatnie przestudiowane i co mógłbym zaprezentować. Wtedy to, szczęśliwym trafem, dokonałem pewnego odkrycia. W Obserwatorium Królewskim w Edynburgu znalazłem pierwsze wydanie dzieła Kopernika *De revolutionibus* pokryte od początku do końca obszernymi notatkami. Jeśli była to „książka, której nikt nie przeczytał”, jak oznajmił Arthur Koestler w swych *Łunatykach*, to czemu jeden z niewielu obejrzanym przeze mnie do tej pory egzemplarzy został tak wnikliwie przestudiowany? Udało mi się ustalić, że stanowił on własność Erasmusa Reinholda, znakomitego profesora astronomii

z pokolenia bezpośrednio po Koperniku, który też był autorem zapisków. Podniecony tym nieoczekiwanym znaleziskiem postanowiłem zbadać więcej egzemplarzy *De revolutionibus* aby przekonać się czy i jakie inne notatki marginesowe można w nich odnaleźć. Nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, że właśnie rozpoczynam coś, co przetrzeźwi się w trzydziestoletnie poszukiwania mające na celu osobiste zbadanie nieomal 600 egzemplarzy pierwszego i drugiego wydania arcydzieła Kopernika. W trakcie tych poszukiwań udało mi się, dzięki staraniom Jerzego Dobrzyckiego, odwiedzić wiele zakątków Polski i obejrzeć cenne jego wydania przechowywane w tamtejszych bibliotekach.

Mój *Census* zawierający szczegółowy opis setek zbadanych egzemplarzy został w końcu opublikowany jako 430 stronicowa monografia w roku 2002. Praca ta dedykowana jest członkom nieistniejącego, lecz niesłychanie elitarnego Towarzystwa Petreiusa, zrzeszającego osoby, które obejrzały 100 lub więcej szesnastowiecznych egzemplarzy *De revolutionibus*. Do grona członków towarzystwa, nazwanego imieniem drukarza księgi Kopernika, należą nieżyjący już Jerzy Dobrzycki, a także moja małżonka i Robert Westman, którzy są tu dziś z nami. Od czasu wydania *Censusu*, znalazłem jeszcze około 30 egzemplarzy „Kopernika”, pochodzących głównie z drugiego wydania.

Zaskakująco wiele egzemplarzy z obu szesnastowiecznych wydań zachowało się do naszych czasów, więcej niż połowa całego nakładu. Ten wysoki „poziom przetrwania” można przypisać szybkiemu docenieniu przez środowiska naukowe przełomowego znaczenia tego dzieła. Nie ma tu miejsca, aby przedstawić wszystkie niezwykle powiązania, które udało mi się odkryć pomiędzy zbadanymi egzemplarzami. Przedstawię jednak Państwu jeden przykład, ponieważ dotyczy on zarówno Keplera jak i jedyne go ucznia Kopernika, Jerzego Joachima Retyka, młodego wittenberczyka, który przybył do Polski, by przekonać starzejącego się Kopernika do wydania dzieła. Należący do Keplera egzemplarz *De revolutionibus* jest znany od dawna i przechowywany w Bibliotece Uniwersytetu Lipskiego. Oprócz fascynujących zapisków marginesowych sporządzonych zarówno przez Keplera, jak i przez poprzedniego właściciela, książka zawiera długi łaciński poemat wstępny jej samej poświęcony, napisany ręką Keplera i podpisany przez niego inicjałami IK.

W roku 1972 Jerzemu Dobrzyckiemu udało się przyjechać do Ameryki i wspólnie udaliśmy się w odwiedziny do kolekcjonera, Harrisona Horblita, który posiadał piękny egzemplarz *De revolutionibus*. Został on podarowany przez Retyka dziekanowi Uniwersytetu Wittenberskiego i poprzedzony napisanym odręcznie greckim poematem. Po kilkuminutowym oglądaniu książki Dobrzycki stwierdził, że ten właśnie poemat był źródłem, z którego Kepler dokonał przekładu na łacinę zapisanego w jego własnym egzemplarzu. Tutaj poemat został wpisany jako dedy-

kacja i podpisany przez znakomitego znawcę greki, Jochima Camerariususa, którego greckie inicjały to właśnie jota-kappa. Podpisując zatem swoje tłumaczenie Kepler zachował zarówno inicjały autora jak i tłumacza, co było kolejną grą słów, które Kepler tak lubił.

W trakcie prac nad *Censusem* egzemplarz Horblita był jedynym spośród zbadanych, którego pochodzenie można było bezpośrednio połączyć z Retykiem. Byłem tym zadziwiony, szczególnie że egzemplarzy z notatkami przepisanyymi bezpośrednio z edynburskiego, należącego do Reinholda, który zapoczątkował moje poszukiwania, było więcej niż tuzin. Sam zaś wszedłem w posiadanie drugiego wydania z odrębną notatką, napisaną w pierwszej osobie, która wyraźnie pochodziła od Retyka, tak więc mogłem się domyślać jakiego rodzaju poprawki Retyk musiał umieścić we własnym egzemplarzu.

W międzyczasie pojawiła się kolejna zagadka. Skradzione zostało pierwsze wydanie książki Kopernika z Biblioteka Palatina we włoskiej Parmie. Katalog biblioteki informował, że egzemplarz ten zawierał grecki poemat wstępny Camerariususa. Czyżby więc egzemplarz Horblita został skradziony z Parmy? Miałem sposobność obejrzeć go w ultrafioletcie i nie znalazłem absolutnie żadnych śladów usunięcia znaków własnościowych ani naklejek. Ale egzemplarz ten pojawił się na rynku londyńskim „znikąd”, wkrótce po zakończeniu drugiej wojny. Czy mogło się zdarzyć, że książka została „wyzwolona” z Parmy przez jakiegoś żołnierza Aliantów, czy może głodnego bibliotekarza? Znałem setki egzemplarzy, a tylko ten jeden pasował do opisu w katalogu Palatiny, bo właśnie on zawierał odręcznie napisany poemat Camerariususa.

Zanim udało się popełnić w oparciu o te niewystarczające poszlaki zawstydzające faux pas, zdarzyło się coś, co szczególnie opisuję na ostatnich stronicach swego ironicznie zatytułowanego pamiętnika z kopernikańskich poszukiwań, *Książki, której nikt nie przeczytał*. Pozwolę sobie tutaj tylko skrótowo opowiedzieć, że pojawiły się dowody na istnienie jeszcze jednego egzemplarza, również poprzedzonego odręcznym poematem Camerariususa. Miałby on jakoby znajdować się we Włoszech, w prywatnych rękach, otrzymałem nawet kserokopię pochodzącego zeń poematu, nie wiedząc jednak, gdzie książka jest przechowywana. Kiedy została ona wystawiona na sprzedaż na aukcji w Sotheby's w Mediolanie zdołałem ostrzec dom aukcyjny, że książka pochodzi niewątpliwie z kradzieży. W kilka tygodni później dostałem wiadomość mailową z krótkim tekstem: „Mikołaj jest znów w Palatinie”. Tymi słowami kończy się moja *Książka, której nikt nie przeczytał*, ale nie jest to koniec całej tej historii.

W 2004 pojechaliśmy z Miriam na Sycylię, aby obserwować rzadkie zjawisko przejścia Wenus przed tarczą słoneczną, stamtąd udałem się do Parmy, aby w końcu

obejrzeć kłopotliwy egzemplarz, ale poinformowano mnie, że z powodu toczącego się sporu sądowego znajduje się on nadal w rękach włoskiej policji. Byłem tak oburzony, że zdecydowałem się dodać posłowie do włoskiego wydania mojej książki, której przygotowanie do druku właśnie zmierzało ku końcowi, a zrobiłem to wyłącznie w celu zawstydzenia władz włoskich. Wybieg ten przyniósł spodziewany skutek – w ciągu kilku miesięcy po opublikowaniu włoskiego wydania otrzymałem z Parmy fotografie dowodzące, że w końcu odzyskali swoją książkę.

Największa niespodzianka była jednak dopiero przede mną. Dwa lata temu mieliśmy okazję powrócić do Palatiny, gdzie w końcu pokazano mi prawdziwy wrak książki, zaplamiony i umyty, bez okładki. Jednak posiadał pisaną odręcznie kartę z poematem Camerariusza, a przy użyciu ultrafioletu dało się odczytać adnotacje. Z narastającym zdumieniem zdałem sobie sprawę, że odpowiadają one notatkom w moim własnym egzemplarzu, i w końcu uwierzyłem, że oglądam pierwsze wydanie należące do Retyka! Ale jak zawędrowało ono do Włoch? Musiało to nastąpić dość wcześnie, bo notatki zawarte w moim egzemplarzu zostały przepisane we Włoszech, a 16-wieczny włoski astronom Magini posiadał egzemplarz z notatkami przepisany z kolei z mojego „Kopernika”. Strona tytułowa parmeńskiego egzemplarza była zapelniona notatkami, ale tak bardzo zaplamiona, że udało mi się odczytać tylko jedno słowo, *Hieronimo*, w celowniku, czyli „Hieronimowi”. Moje komórki mózgowy pracowały w zwolnionym tempie, i dopiero po upływie kilku minut przypomniałem sobie, że w dwa lata po wydaniu *De revolutionibus* Retyk rozpoczął długotrwały pobyt we Włoszech, gdzie przez wiele tygodni był gościem wybitnego 16-wiecznego matematyka Girolamo Cardano (łac. Hieronymus Cardanus). Na podstawie posiadanych informacji z pełną odpowiedzialnością mogę wysunąć przypuszczenie, że Retyk wręczył swój własny i własnoręcznie adnotowany egzemplarz gospodarzowi, jako wyraz wdzięczności za zaproszenie.

Postarałem się Państwu przedstawić pokrótce skąd wynika i jak objawia się moja fascynacja Keplerem, Kopernikiem i samą Polską, ale nie wyjaśniłem do końca, dlaczego Kepler jest moim ulubionym astronomem. Częściowo wynika to z faktu, że tak wiele wiadomo o Keplerze jako o człowieku, w większości dzięki jego rozległej korespondencji, która przetrwała do naszych czasów. Myślałem nawet o przygotowaniu na jej podstawie książki, zatytułowanej *Drogi Johannesie, Drogi Maestlinie*, a złożonej z listów wymienianych przez Keplera z jego nauczycielem Michaeliem Maestlinem. Maestlin w jednym z nich krytykuje Keplera uważając za czyn niegodny matematyka, w jego mniemaniu, mieszanie fizyki do astronomii. Z pewnością jednak to właśnie wprowadzenie fizyki stanowi największy przyczynek Keplera do astronomii, prawdopodobnie ważniejszy od znalezienia eliptycznego kształtu orbit planetarnych. Wiele lat później pojawia się kolejny list Keplera do

mieszkającego w Tybindze dawnego nauczyciela, tym razem dopytuje się o wieści o swym synu, Ludwigu, który jest studentem tamtejszego uniwersytetu, ale nigdy nie pisuje do domu.

Istnieją i głębsze motywy mojej sympatii do Keplera. Był on z wykształcenia przede wszystkim teologiem. Dlatego też jego sposób myślenia był głęboko religijny, gdyż starał się dostrzec Boski zamysł odzwierciedlony w pięknie wszechświata. Kepler był zagorzałym Luteraninem, ale uważał, że Kalwiniści powinni być uznawani za braci w Chrystusie, ku wielkiej konsternacji wykładowców z Tybingi. Cierpiał z powodu swego niezależnego sposobu myślenia i w końcu został ekskomunikowany, ku swej wielkiej rozpaczy. Moi przodkowie byli Anabaptystami, surowo prześladowanymi w owym czasie zarówno przez Katolików jak i Protestantów, za opowiadanie się za chrztem wiernych, to znaczy dorosłych, którzy samodzielnie są zdolni do podjęcia decyzji w sprawach wyznaniowych.

Kiedy zmieniałem swe zainteresowania z astrofizyki na historię nauki nie oznaczało to zmiany moich głównych celów. Zawsze chciałem zrozumieć naturę samej nauki oraz sposób w jaki roszczenia religii oddziaływają na naukowy obraz wszechświata, a są to problemy nad którymi można pracować zarówno będąc naukowcem jak i historykiem nauki. Postrzegam Keplera jako odkrywcę największych tajemnic kosmosu, a szczególnie dobrze rozumiem go, gdy kończąc swe *Harmonice mundi* modli się z głębi duszy: „Jeśli okazałem pychę skuszony cudowną pięknnością Twego dzieła, lub jeśli ukochałem własną sławę pośród ludzi, gdy pracowałem dla Twojej sławy; łaskawie i litościwie wybac mi. Amen”.

Dziś z dumą przyjmuję nadany mi zaszczytny tytuł i szczerze zań dziękuję, lecz dziękuję również towarzyszącej mi od 54 lat żonie za jej tak niezbędne i stałe wsparcie, jak i wielu kolegom, którzy umożliwili mi pracę. Dziękuję również Janowi Keplerowi, który znalazł słowa tej jakże stosownej modlitwy: „Jeśli ukochałem własną sławę pośród ludzi, gdy pracowałem dla Twojej sławy; łaskawie i litościwie wybac mi. Amen”. Dziękuję wszystkim!

*Źródło: tłumaczenie Urszula Maciejewska*